kończąc to, co nie zostało skończone. Tak było, ponieważ takim był ustrój, którego braki łatano atrapami osiągnięć. Byliśmy wojskiem tego ustroju.

Gra wojenna w Wünsdorfie – „inwazja" na Europę

W sierpniu 1961 roku Moskwa postanowiła przeciąć komunikację między Republiką Federalną Niemiec a zachodnią częścią Berlina. Cel tej prowokacji, w wyniku której nastąpiło znaczne pogorszenie i bez tego wystarczająco napiętych stosunków między „Zachodem" i „Wschodem", ujawnił się po pewnym czasie: chodziło o zamknięcie granicy między dwiema częściami Niemiec, przez którą co roku uchodziły ze wschodu na zachód dziesiątki tysięcy ludzi.

W noc z 12 na 13 sierpnia dalekopisy nadały oświadczenie państw Układu Warszawskiego oraz uchwałę Rady Ministrów Niemieckiej Republiki Demokratycznej o wprowadzeniu na granicy z Berlinem Zachodnim „niezawodnej i skutecznej kontroli w celu położenia kresu działalności wywrotowej". Wstrzymano ruch kolei podziemnej między zachodnią i wschodnią częścią Berlina; policja ludowa NRD, wspomagana przez „grupy bojowe klasy robotniczej", zaczęła obsadzać granicę. A że trzeba było pokazać światu, iż linia dzieląca Niemcy jest chroniona przez wszystkie państwa socjalistyczne – postawiono w stan gotowości bojowej wojska radzieckie stacjonujące we wschodniej części Niemiec, wschodnioniemiecką Armię Ludową, armię czechosłowacką oraz dywizje dwóch polskich okręgów wojskowych – Śląskiego i Pomorskiego.

Fakt, że w pierwszych szeregach stanęła nad Łabą nie armia, lecz niemieccy policjanci i szturmowcy z państwowych zakładów pracy, świadczył, iż w tym konflikcie ważniejsza była demonstracja niż działanie. Niemniej w pierwszej dekadzie września odbyła się w Warszawie narada ministrów obrony Układu Warszawskiego, na której podjęto decyzję „o wzmocnieniu gotowości bojowej wojsk",

a wkrótce po tym wezwano nagle do Warszawy dowódców Śląskiego i Pomorskiego Okręgu z szefami sztabu. Wyjedziecie – oznajmiono nam – do Zossen-Wünsdorfu (niewielkiej miejscowości w pobliżu Berlina, siedziby dowództwa Centralnej Grupy Wojsk Radzieckich w Niemczech Wschodnich), na grę wojenną, w roli dowódców i szefów sztabów armii. Wyjazd z Warszawy za kilka dni.

Ze sobą wolno było zabrać, prócz rzeczy osobistych, tylko przybory do pisania; żadnych map, zeszytów, nawet papieru – wszystko mieliśmy otrzymać na miejscu. I tyle, bez dodatkowych wyjaśnień. Jak się okazało, wyjaśnień tych nie mógł udzielić nikt, ze Spychalskim włącznie, jako że występujący pod firmą Układu Warszawskiego radziecki Sztab Generalny, planując to zamierzenie, ograniczył się tylko do poinformowania nas, kto ma wziąć udział w grze i czego n i e w o l n o ze sobą zabierać. Co do reszty – tematu ćwiczenia, organizacji, naszego w nim zadania – o tym mieliśmy dowiedzieć się w Wünsdorfie. Szczególny stopień tajności przedsięwzięcia wynikał z faktu, że odbywało się ono zgodnie z planami operacyjnymi państw Układu na wypadek wojny.

Wylecieliśmy wczesnym rankiem dwoma „duglasami" pasażerskimi z rządowego pułku lotniczego. W pierwszym leciał Spychalski z generałem Duszyńskim przewidzianym na dowódcę Frontu Polskiego, Janem Śliwińskim – wojennym szefem sztabu Frontu, Bronisławem Bednarzem – zastępcą dowódcy do spraw politycznych, Janem Raczkowskim – dowódcą korpusu lotniczego w Poznaniu (w czasie wojny miał dowodzić lotnictwem frontowym), Czesławem Mankiewiczem – dowódcą wojsk obrony przeciwlotniczej kraju, oraz dwoma dowódcami okręgów z Bydgoszczy i Wrocławia – Huszczą i Waryszakiem. Drugi samolot wiózł dowódców wojsk – artylerii, saperów i łączności, szefów sztabów okręgów wojskowych, a także zastępcę głównego kwatermistrza wojska (kwatermistrza Frontu na czas wojny) z kilkoma szefami służb zaopatrzeniowych. Szef Sztabu Generalnego, jego zastępcy, szef zarządu politycznego (był nim Jaruzelski), główny kwatermistrz – nie brali udziału w grze, albowiem nie wchodzili w skład dowództwa frontowego; również Warszawski Okręg Wojskowy był z tej impre-

zy wyłączony, jego dywizje nie wchodziły w skład sił zbrojnych Układu Warszawskiego. Dobór więc naszego zespołu był jednoznaczny.

Wylądowaliśmy w Poczdamie, na lotnisku czekały już samochody; przyjechaliśmy do Wünsdorfu. Rozlokowano nas w hotelu oficerskim, w dwuosobowych pokojach, dowódcy armii ze swoimi szefami sztabów; tylko Spychalski i Duszyński mieli pokoje pojedyncze. Na miejscu był generał Antonow, występujący tu jako szef sztabu kierujący ćwiczeniami, oraz gromada rosyjskich generałów i oficerów z różnych rodzajów wojsk. Byli też Niemcy ze swoim ministrem (ale nie jako gospodarze), wkrótce przylecieli Czesi – oba zespoły w składzie podobnym do naszego. Następnego dnia wręczono nam założenia do potężnej ofensywy, zaczynającej się od granicy na Łabie i sięgającej po Atlantyk. Centralne zgrupowanie wojsk Układu Warszawskiego opierało się prawym skrzydłem o Bałtyk, lewym sięgało po Szwajcarię i Pireneje, z pominięciem jednak Hiszpanii, która w tym czasie nie była członkiem Paktu Północnoatlantyckiego. Mieliśmy więc rozegrać aneksję całej prawie zachodniej Europy. W planie ofensywy przewidziano też całkowite opanowanie Bałtyku i desant osłonowy na Norwegię, ale bez Anglii, która nie wiedzieć czemu pozostawała poza sferą operacji.

W tymże dniu zaznajomiono nas z regulaminem pracy. Utajnienie było na miarę zamierzenia: obowiązywał zakaz używania własnych zeszytów, robienia jakichkolwiek notatek „na boku", posługiwania się maszynistkami czy kreślarzami. Całą dokumentację mieliśmy wykonywać sami, odręcznie, w zeszytach wydanych nam „centralnie" i na mapach, które wraz z zeszytami codziennie po zakończeniu pracy – najczęściej w późnych godzinach nocnych – oddawaliśmy do pracującej całą dobę kancelarii, w opieczętowanych plasteliną teczkach. Dokumenty operacyjne należało sporządzać w języku rosyjskim, co nikomu z uczestników nie sprawiało kłopotu, prawie wszyscy mieli ukończoną którąś z radzieckich akademii wojskowych. Wydawaniem i odbieraniem zapisanych zeszytów i map z wrysowaną sytuacją zajmowali się wyłącznie oficerowie so-

wieccy, sprawdzając każdorazowo nawet liczbę ponumerowanych stron w zeszytach.

Po trzech pracowitych dniach i częściowo nocach, kiedy wymalowaliśmy na mapach wstępne decyzje i napisaliśmy zarządzenia do operacji, zebrano wszystkich uczestników gry w wielkiej sali, gdzie odbyło się referowanie planu ofensywy. Tam już otwarto karty: na sięgających niemal sufitu stojakach wisiały olbrzymie mapy środkowej i zachodniej Europy z akwenem Bałtyku i Morza Północnego, z wrysowanym na nich położeniem wojsk własnych i nato-wskich, z potężnymi czerwonymi strzałami przeszywającymi „niebieskich" od linii Łaby, poprzez Niemcy Zachodnie i Francję, aż do wód Atlantyku (wojska własne oznaczano kolorem czerwonym i czarnym, przeciwnika – niebieskim i brązowym). Tam również mogłem zobaczyć wszystkich uczestników gry.

Ćwiczeniem kierował marszałek Rodion Malinowski, minister obrony ZSRR, z zespołem dowódczym radzieckich wojsk lądowych, powietrznych i morskich oraz grupą wykładowców moskiewskiej Akademii Sztabu Generalnego. Siedział w pierwszym rzędzie wypełniając swym zwalistym ciałem przyciasny dla niego fotel. Obok Malinowskiego długi jak tyka marszałek Andriej Greczko; jako naczelny dowódca Układu Warszawskiego, w grze występował w przypisanej mu roli – dowodził całością uczestniczących w ofensywie sił. W pierwszym rzędzie siedzieli również wszyscy ministrowie obrony państw UW, z bułgarskim, rumuńskim i węgierskim jako obserwatorami. Opodal kierownictwa zajmował miejsce marszałek Wasilij Czujkow, słynny obrońca Stalingradu; z kilkunastoosobową grupą kierował obroną „niebieskich" stojąc na pozycjach z góry straconych, od początku bowiem było oczywiste, że jak by się nie starał – musiał zostać pobity.

Salę wypełniali głównie oficerowie radzieccy, wśród nich mundury Wehrmachtu, w jakie odziano oficerów NRD-owskich po wojnie, robiły dość niesamowite wrażenie. We wszystkich zespołach narodowościowych przytłaczająca większość oficerów była w stopniach generałów, słowem kwiat rycerstwa Układu Warszawskiego; gdy popatrzyłem na to zgromadzenie, przeszła mi przez głowę myśl dość pospolita w podobnych okolicznościach: co by by-

ło, gdyby tak bomba gruchnęła w środek sali? I sam sobie odpowiedziałem: nic by nie było; wszystkich tych lśniących pagonami generałów i pułkowników zastąpiliby inni, nieco lepsi lub nieco gorsi, i wojna toczyłaby się dalej, bez większych zapewne zmian.

Wracając do plansz i map z planami inwazji Europy – rolę główną odgrywały wojska radzieckie; czterystutysięczne zgrupowanie w składzie sześciu armii ogólnowojskowych i dwóch armii lotniczych, wśród nich – dwie armie pancerne, które miały wejść w wyłom dokonany przez pierwsze rzuty dla rozwinięcia powodzenia. Strzały na kierunkach głównych uderzeń wskazywały swymi ostrzami Półwysep Jutlandzki, okręg przemysłowy Essen, Luksemburg i Lyon – rubież, do której wojska powinny były dotrzeć w pierwszym etapie ofensywy. Na prawym skrzydle – Front generała Duszyńskiego ze strzałami poprzez Hamburg na Danię aż po jej północne granice, z odnogą na Bornholm, na którą to wyspę przewidywano desant powietrzny i morski, choć Polska – jak wspominałem – nie posiadała ani samolotów dla przewozu swoich spadochroniarzy, ani okrętów desantowych. Na lewym skrzydle, na Monachium i dalej na Bordeaux, nacierały dwie armie czechosłowackie, nazwane Grupą Wojsk CSR (poza Polską żadne państwo Układu Warszawskiego nie posiadało organizacji frontowej). Dwóch armii niemieckich nie było w pierwszym rzucie, na wszelki wypadek trzymano je w odwodzie naczelnego dowódcy, z bliżej nieokreślonym zadaniem. Rumuni, Bułgarzy i Węgrzy nie uczestniczyli w grze, albowiem ich wojska wchodziły w skład południowego sektora UW, dla którego przewidywanym obszarem działania były Bałkany i Półwysep Apeniński.

Nawiasem mówiąc, również i polskich armii nie było w początkowym założeniu. W Moskwie, gdzie przygotowywano ćwiczenie, pozostawiono je w drugim rzucie, wysuwając na pierwszą linię jakiś Front sowiecki, który zapewne był przewidziany w planach operacyjnych radzieckiego Sztabu Generalnego. Dopiero po przyjeździe do Wünsdorfu Spychalski, gdy pokazano mu mapy wyjściowe, zdecydował się za namową Duszyńskiego upomnieć o należne miejsce i spytał Malinowskiego, dlaczego polskich wojsk nie widać? „Ach, to drobiazg, to tylko niedopatrzenie – odpowie-

dział Malinowski. – Zaraz to poprawimy". I rzeczywiście, na wywieszonych później planszach widniały już dwie polskie armie w rejonach, gdzie były przewidywane na wypadek wojny z NATO. Niemniej tę „wpadkę" odczuliśmy jednoznacznie: tam, w Moskwie, nie cieszymy się zbytnim zaufaniem i – podobnie jak Niemców – trzymano nas w odwodzie. Może i nie bez racji.

Zaczęło się referowanie planu operacji. Pierwszym był generał armii Paweł Batow, mały, niepozorny, występował w roli szefa sztabu Zjednoczonego Dowództwa (wkrótce miał nim zostać, w miejsce Antonowa, który ciężko chory na cukrzycę zmarł w czerwcu 1962 roku). Po nim występował generał-pułkownik Iwan Jakubowski, général-en-chef najpotężniejszego zgrupowania wojsk radzieckich (w NRD), z fizjonomią chłopka-roztropka. W pamięci utkwił mi charakterystyczny epizod: Jakubowski, w czasie referowania swojej decyzji, mówiąc coś o Luksemburgu nie mógł odnaleźć tego księstwa na mapie. Wówczas Malinowski zadał mu pytanie: „A co to jest Luksemburg?". „Chyba stolica Belgii" – usłyszał w odpowiedzi, co wywołało ogólne poruszenie na sali, ale nie przeszkodziło Jakubowskiemu w dalszej karierze; kilka lat później objął po Greczce funkcję naczelnego dowódcy sił zbrojnych Układu Warszawskiego i został marszałkiem. Po nim przedstawiali swoje decyzje poszczególni dowódcy armii radzieckich oraz dowódcy wojsk sprzymierzonych; po każdej uwadze Malinowskiego, korygującej niektóre szczegóły ich planów, przybierali postawę „na baczność" i dziarsko odpowiadali: „Tak jest, towarzyszu marszałku!" – zgadzając się bez słowa na zmianę tego, nad czym ze swoim sztabem mozolili się przez kilka dni i nocy. Tylko Duszyński upierał się przy swoim, broniąc wypracowanych przez naszą grupę decyzji, nie podrywał się też na baczność, co w przyszłości nie wyszło mu jednak na dobre.

W tej niezwykłej grze, w której przerabiano na mapach trzecią wojnę światową, rzucała się w oczy olbrzymia ilość broni jądrowej użytej już w pierwszym dniu operacji. Na planszach prawie wszystkie większe miasta Niemiec Zachodnich były obwiedzione kółkami, jako cele dla lotnictwa dalekiego działania z bombami atomowymi na pokładzie („eurorakiety" wówczas jeszcze nie istniały).

jak pamiętam – na Hamburg planowano zrzut bomby wodorowej o sile jednej megatony, pięćdziesięciokrotnie większej od zrzuconej na Hiroszimę, a w dzień później już do miasta miały wkroczyć oddziały jednej z radzieckich armii zmechanizowanych – niewiarygodny wręcz brak wyobraźni i wiedzy ze strony planistów wojskowych. Również za linią frontu na szyki bojowe „niebieskich" spaść miały pociski jądrowe, one to przebijały drogę dywizjom pancernym, które jak burza winny były posuwać się do przodu. Poprzedzały je oddziały chemiczne z zadaniem oczyszczania skażonego terenu, ale bezskuteczność tego działania była oczywista, wojska wchodziły w rejon eksplozji po kilku godzinach, nie licząc się z konsekwencjami.

Oczywiście, na wojnie życie ludzkie liczy się inaczej, inna jest jego cena. Dowódca, mądry czy głupi, reprezentuje przede wszystkim instytucję domagającą się walki i wymagającą posłuszeństwa. Rozkaz, by zbombardować miasto z jego mieszkańcami albo spalić osiedle, żeby nieprzyjacielski oddział nie mógł w nim stanąć – nie potrzebuje sankcji, nie wymaga uzasadnienia, jest sam w sobie sankcją i uzasadnieniem. W operacjach wojennych nie istnieją reguły moralności, etyki, humanitaryzmu. Decyzje nawet najfatalniejsze dla ludzi, kładące pokotem własnych żołnierzy, nie pociągają za sobą żadnych konsekwencji, jeśli ich wynikiem jest sukces terytorialny lub unicestwienie przeciwnika.

W Armii Radzieckiej dominowały te właściwości. Przez dziesiątki lat w historiografii radzieckiej nie ujawniano bezsensu pchania ludzi do przodu za wszelką cenę, dla zdobycia nikomu niepotrzebnego wzgórza, by za chwilę zwrócić je przeciwnikowi, jak gdyby dzielność polegała wyłącznie na tym, żeby jak najszybciej oddać swoje życie za ojczyznę. Straszliwa mania władz kierujących wojną, realizowana przez dowódców od armii do kompanii, została osądzona przez historyków rosyjskich dopiero w latach osiemdziesiątych: w wyniku takiej „sztuki wojennej" straty wojsk radzieckich w czteroletniej wojnie z Niemcami były czterokrotnie wyższe od niemieckich w ciągu sześciu lat walk na wszystkich frontach łącznie.

Nie będę tu opisywał przebiegu ćwiczeń, wspomnę tylko epizod z rozjemcą przy polskim zespole. Był nim Estończyk, wykła-

dowca z Akademii im. Woroszyłowa. Któregoś wieczora zaszedł na pogawędkę do pokoju, w którym mieszkałem z Huszczą, poczęstowaliśmy go koniakiem, a gdy wypił parę kieliszków – podniósł się nagle z krzesła i powiedział: „No, teraz wzniesiemy toast za niepodległą armię estońską, za Estonię". Popatrzyliśmy z Huszczą na siebie w milczeniu nie wiedząc, jak się znaleźć, ale toast spełniliśmy i ten sowiecki generał roztkliwił się na całego wspominając czasy, kiedy Estonia była Estonią, a on służył jako porucznik w swojej armii. Następnego dnia, wystraszony tym, co nagadał, podszedł do mnie, odprowadził w przestronne miejsce i prosił, żeby zapomnieć o zwierzeniach, które mogły zakończyć jego służbę w wojsku. Zapewniłem go, że niczego nie pamiętamy.

Po dwóch tygodniach „znoju i potu", gdy wróg poprosił o pokój, ogłoszono koniec gry. Po dniu przerwy nastąpiło omówienie ćwiczeń przez marszałka Malinowskiego, a następnie – obiad na dwieście osób, jeden z tych beznadziejnych bankietów, na którym nawet nieograniczona ilość alkoholu nie jest w stanie zatrzeć monotonii wygłaszanych toastów: za zwycięzców, za pokonanych (czyli marszałka Czujkowa), za kierownika ćwiczeń, za dzielnych dowódców, za przyjaźń między narodami i oczywiście – za pokój.

Wykonane przez nas szkice i zarządzenia dotyczące Frontu Polskiego chcieliśmy zabrać ze sobą, ale nie oddano ich, całą dokumentację z gry pozostawiono w jednym tylko egzemplarzu, który został złożony w sejfach radzieckiego Sztabu Generalnego; wszelkie kopie, zapiski, zeszyty pracy itp. zostały komisyjnie zniszczone. W mojej pamięci pozostała jednak koncepcja zaboru Europy, która do dziś spoczywa w tajnym archiwum pragnień.

*

Rok później świat znalazł się na krawędzi wojny jądrowej. 23 października 1962 roku prezydent John Kennedy wystąpił z osiemnastominutowym przemówieniem do narodu amerykańskiego, w którym oświadczył, że jeśli Związek Radziecki nie zrezygnuje z instalowania na Kubie platform startowych dla rakiet dalekiego zasię-

gu i rozmieszczania bombowców przeznaczonych do przenoszenia broni jądrowej – Ameryka nie cofnie się przed żadnym krokiem, aby temu przeszkodzić. „Nie chcemy – powiedział dosłownie – pochopnie czy niepotrzebnie ryzykować wojny atomowej na skalę światową, której owocem nawet w wypadku zwycięstwa byłyby tylko popioły, lecz nie cofniemy się nawet przed tym, jeśli zostaniemy do tego zmuszeni".

Gdy Kennedy zakończył swoje przemówienie, w Moskwie była godzina 2.30 rano, ale tekst przekazano Chruszczowowi natychmiast. W tym czasie do pełnej gotowości bojowej doprowadzono prawie cały potencjał morski USA. Z portów Atlantyku, Oceanu Spokojnego i Morza Śródziemnego wyszły amerykańskie okręty podwodne z rakietami uzbrojonymi w ładunki atomowe; przygotowano do odpalenia międzykontynentalne rakiety rozmieszczone na terytorium Stanów Zjednoczonych; w przeszło osiemdziesięciu amerykańskich bazach lotniczych – na wyspie Guam archipelagu Mariany, w Anglii, Hiszpanii i Maroku – wszystkie samoloty strategicznych sił powietrznych zostały doprowadzone do gotowości startowej. Jeszcze przed wystąpieniem prezydenta wystartowały bombowce dalekiego zasięgu B-52, z bombami atomowymi na pokładzie; pozostawały w powietrzu trzydzieści dni i nocy, do zakończenia blokady morskiej i powietrznej, jaką została objęta Kuba. Była to największa tego typu operacja w dziejach lotnictwa: flotylla bombowców przeleciała łącznie ponad trzydzieści milionów kilometrów, tankując w powietrzu dwieście sześćdziesiąt tysięcy ton paliwa, samoloty lądowały tylko dla krótkiego przeglądu technicznego i wymiany załóg.

Rząd sowiecki, wyraźnie zaskoczony determinacją Waszyngtonu, nie podjął akcji tak radykalnej, niemniej we wszystkich państwach Układu Warszawskiego również zarządzono stan gotowości bojowej. W Okręgu Pomorskim trzy dywizje zostały wyprowadzone z koszar do rejonów wyczekiwania, sztab okręgu w trybie nagłym uaktualniał plan ich przerzutu do rejonów rozwinięcia w pobliżu zachodniej granicy państwa, zaczęto powoływać rezerwistów uzupełniając jednostki do stanów okresu wojennego.

Po sześciu pełnych napięcia dniach Kreml ustąpił, nakazał